OPIEKUN DOMOWY

Warszawa dnia 26 Kwietnia 1865 roku.

Nr 17. | Cena w Warszawie 40 groszy miesięcznie. — Cena na prowincji na stacjach pocztowych 5 złotych kwartalnie. | Rok I.

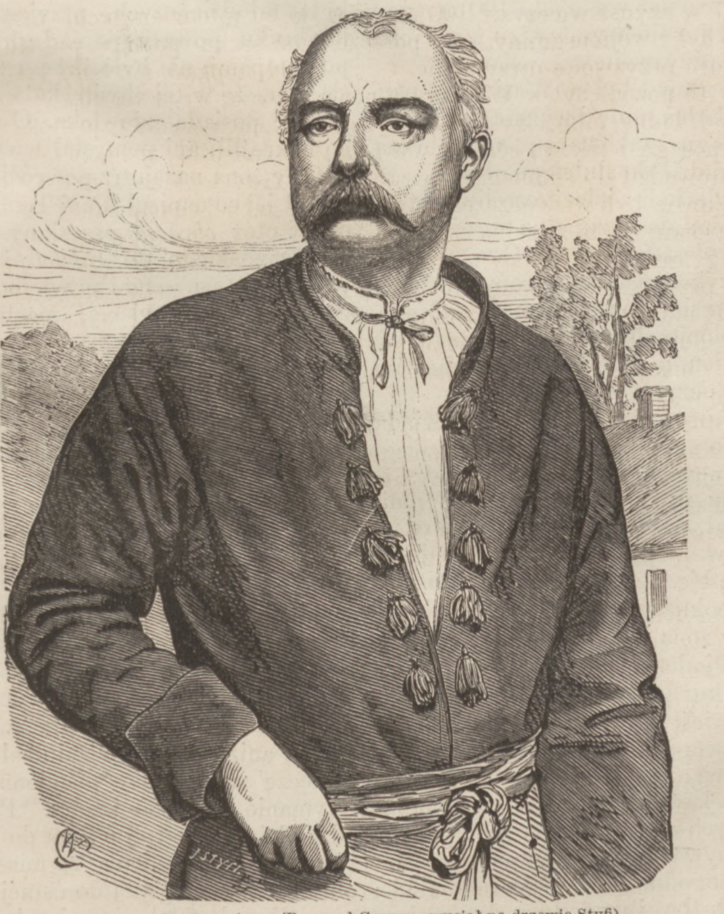
JAN KANTY GREGOROWICZ.

Janek z Bielca urodził się w Warszawie r. 1818, z rodziców: Jana Kantego Gregorowicza i Maryanny Trzebieńskiéj, córki obywatela Sandomierskiego. Ojciec jego był kupcem: miał skład futer w Warszawie na Marywilu.

Nasz Jan Kanty został w r. 1827 oddany do szkół księży Pijarów przy *Długiéj* ulicy, dla których ojciec jego, jako ich niegdyś uczeń, szczególną zachował przyjaźń i szacunek. W tych szkołach, pozostał Jan aż do roku 1832. W tym czasie, dość znaczne mienie rodzica wielce nadszarpniętem zostało, i dla tego pan Gregorowicz zwinął całkiem handel, a przeniósł się z rodziną do swojéj wioski dziedzicznéj, Bielca w Sandomierskiem.

Jan na wsi, uczył się pod okiem wykształconego ojca, mając nauczyciela niepośledniéj nauki w osobie p. Wojciecha Sporzyńskiego, b. ucznia uniwersytetu Warszawskiego, który powróciwszy z Prus do kraju, stałą w Bielcu znalazł siedzibę. *Janek z Bielca* też nieraz powtarza: „W uniwersytecie nie byłem i szkół nie ukończyłem nawet; co więc umiem, winienem to ojcu i Sporzyńskiemu, własnéj szczeréj chęci i wytrwałéj pracy.”

W roku 1835 umarł ojciec i zostawił interesa w nader smutnym stanie; ciężar ich spadł na matkę i na 16-letniego Jana, jako najstarszego z rodzeństwa, składającego się: z dwóch jeszcze chłopców, z których starszy miał lat 15, a młodszy 2, i z trzech dziewczynek.



Jan Kanty Gregorowicz.—(Rysował Gerson—wyciął na drzewie Styfi).

Opieka nieletnich, uradziła zatrzymanie wsi i nadmieniono przytem: że Janek, jako urodziwy chłopiec, majętnéj może poszukać żony i całą poratować fortunę.

„Zamysł ten”— opowiada nasz autor, „spodobał mi się niezmiernie, i od téj chwili marzenie dojścia do czterech koni, ładnéj najdyczanki i furmana w kierezji, z długim trzaskającym biczem, jak z armaty, już mnie nie opuszczało wcale. Aż wreszcie przemieniło się w rzeczywistość; i jeżeli nie szczułem chartami zająca, lub nie uganiałem w lesie z ogarami, to tańczyłem, konkurowałem i tworzyłem plany małżeńskie, pędząc czwórką od wsi do wsi, od panny do panny. Przytem wszelako, czytywałem wiele i starałem się coraz więcéj mój umysł kształcić.”

Plany opiekunów, by majętnie ożenić Jana, nie udały się wszelako, bo poetyczna dusza młodzieńca, raczéj zawsze serce skłaniała ku dziewicom bez posagu, i nigdy nie byłby potrafił zaprzedać siebie. Potrzeba więc było Bielca odstąpić, a na szczęście, przejął włość tę szwagier jego w r. 1845, dopiero co z jedną z siostr ożeniony.

Żal ci to było pożegnać ukochaną siedzibę, gdzie niby wszystko z młodem zrosło się sercem. Żal było pożegnać ludek poczciwy, całą pokochany duszą. Autor sielskich obrazków, od lat najmłodszych marzył już o chłopkach naszych,— a jako 5cioletni chłopczyk najwięcéj lubił rysować kościoły, chałupy i chłopów. Jako młodzieniec, chwytał wszędzie poetyczną stronę ich obyczajów i zwyczajów. Spiewał z niemi i tańczył na okrężnem lub weselach. A nieraz nastręczała się i myśl ponętna, by całkiem zbratać się z ludem, by chłopem zostać. Mając lat 15, przebrał się za parobka i pobiegł na wesele, wmięszał się pomiędzy drugich, i tak doskonale swoją rolę odegrał, iż nikt *panicza* nie poznał. Pomógł mu w tem młody wieśniak, z którym w szczególnéj zostawał przyjaźni, leżąc z nim nieraz przy ognisku na jesień, kiedy wiatr dmuchał, piekły się ziemniaki, a obadwaj gwarzyli, jeden Bóg wie o czem.

„Cóż dziwnego że znam lud wiejski, lepiéj jak inni," powtarza *Janek z Bielca*, „toćże ja i dziś jeszcze, gdy jestem u matki na wsi, odwiedzam moich kochanych chłopków, i po parę godzin u jednego przesiedzę. *Lud, to moja dusza.*"

Więc z serdecznym żalem porzucił wioskę i udał się do Warszawy. Pragnąc jednakże znowu do sielskiego powrócić życia, a mając fundusik 20,000 złp., wziął r. 1847 w czynsz wieczysty 100 morgów gruntu. Zarazem był i wójtem gminy, co w połączeniu dawało mu dość przyzwoite utrzymanie.

Jeszcze w r. 1845 poznał był w Warszawie pannę Teofilę Szostand, ładną, miłą i wykształconą osobę, ale także bez posagu i takową sercem wybraną, w 1849 roku poprowadził do ślubnego ołtarza.

Młodzi małżonkowie byli wielce szczęśliwi w swojem wiejskiem ustroniu; ale ta zupełna szczęśliwość, nie potrwała długo, niestety! i zacny Gregorowicz, po wielu a wielu przykrościach ze strony możnego dziedzica, porzucić musiał wójtowstwo gminy; przeniósł się na swoją kolonję: do domku nędznego, bez powały, podłogi i okien, a jeszcze i bez funduszów, i bieda zajrzała im w oczy.

„Mordowany, torturowany, jak sam opowiada; bo co chwila darzono mnie biedaka, nie mogącego się bronić, jakiemiś nowemi dokuczeniami, tak, że każdy człowiek idący do mojéj kolonji, już mnie dreszczem przejmował, traciłem nadzieję i wiarę we wszystko, tylko nie w miłość żony, która z największą swobodą, znosiła biedne położenie nasze, i zdawała się przy moim boku być szczęśliwą zupełnie."

Dnia jednego, gdy żona jego była w Warszawie, Jan pozostawszy sam jeden w pustym domku, z pudlem tylko i stadem kur gdakających, bo i dziewce pozwolił pójść na wieś *do swoich*, zasiadł sobie przy stoliku i niebawem w głębokiem zagrzązł dumaniu. W myśli dawne jawiły się czasy i obrazy: Bielc, błyskotki życia kawalerskiego, polowania, zabawy, kuligi, na których zawsze panem młodym bywał i różne zjazdy obywatelskie; różne nadzieje barwne a piękne, jak pogodne niebo sandomierskie; pewna zamożność, służba i wygody w domu ojcowskim.... aż wreszcie doszedł do chaty bez podłogi i pułapu, bez jednego człowieka: do poniewierki ze strony ludzi, którym podobni kiedyś w domu jego chleb jedli i uniżenie się kłaniali.

Wkoło trwała cisza, jak to bywa w święto na zagrodzie, przerywana tylko niekiedy odgłosem nuty pastuszka, lub dźwiękiem trąbki pocztowéj od zwirówki, lub też krakaniem wrony przelatującéj. Zaiste, chwila jedyna do szukania otuchy we własnem życiu wewnętrznego ducha, upragnionéj tęsknem sercem i duszą.

Od karczmy śpiew ochoczy doleciał, i myśl dumającego skierował na lud wiejski, na jego usposobienie szczęśliwe, który, gdy wolny od troski, choć w ciężkiéj pracy i poniżeniu, skoro w *świątko* skrzypki zagrają, już jest gotowy do tańca i wesela: *Chociaż bieda to hoc!* Zamajaczyły one wiejskie Sandomierzan obrzędy: zapusty, sobótki, chrzciny, zalecanki parobczaków, swaty, drużbowie z rózgą w ręku, różne druchny z wstęgami i rozmarynem, uśmiechnięte niewiasty, ojcowie i matki..... *Janek z Bielca*, nagle za pióro pochwycił; chwila prawdziwego natchnienia, istna niebios córa, utuliła go w objęciu i nakreślił swój najpierwszy obrazek: *Karczma ot tak sobie!* bez myśli żadnéj, dla rozrywki, dla zabicia czasu.

W tym obrazku lekko, potoczysto, niby jednym pociągiem pióra na papier rzuconym, błyszczy Sandomierskie całą wabnością okolic swoich, dziewy krasą urody, a lud raźną wesołością, poczciwe serca, obyczaje proste, obrazy jasne a ciepłe.

Pisząc a raczéj malując, jaśniéj też, swobodniéj i błogo, robiło się w myśli i na sercu autorowi młodemu; odżył sam w tym obrazku, otoczyły go uroki lat młodzieńczych, przyjazne postacie, i nie czuł już braku powały po nad głową, ni braku podłogi pod stopami; nie było już pusto w około i zdawało się mu, że w téj chwili kula ziemska szczęśliwszego nie posiada człowieka. O druku wszelako tego co nakreślił, ani pomyślał wtedy.

Gdy żona nazajutrz powróciła z Warszawy, przeczytał jéj co napisał. Pani Teofila pochwaliła, zachęciła, i otóż *obrazek* przesłany został na ręce pana Gliszczyńskiego do *Biblioteki Warszawskiéj*. Przeczytano go na *sessyi* i przyjęto z poklaskiem; zapłacono zań nawet więcéj, aniżeli kiedykolwiek za podobne utwory.

Publiczność z niezwyczajnem zajęciem, powitała *Karczmę*, co wszystko było autorowi zachętą i podnietą.

W tymże czasie, pobyt na kolonji stawał się coraz trudniejszym, stosunki przykrzejsze... nadto spaliła się stodoła ze zbożem, bydło na kięgosusz wypadło, przeto zniszczeni w szczupłem mieniu do reszty, przenieśli się państwo Gregorowiczowie do Warszawy.

Obrazki wiejskie, zaczęły się sypać *niby z rękawa;* również i różne gospodarskie rozprawy. Gregorowicz poczuł, że to jest jedyna praca, która go uszczęśliwić potrafi, i powiedziawszy sobie: „do służby prywatnéj mam wstręt nieprzezwyciężony, i wolę umrzeć, aniżeli tego rodzaju zależność. Przeto, albo zamęczę się w pracy piśmiennéj, albo wywalczę utrzymanie dla siebie i żony." Pracował też całą siłą od godziny czwartéj z rana do południa; potem wybiegł dla wytchnienia za miasto, marząc o swoich obrazkach. Od piątéj do ósméj znowu pisał; potem poszedł na kufelek piwa, i pykając dymem z tytoniu, przysłuchiwał się rozmowie i gwarowi osób, występujących *w zarysach*, — i zdawało mu się, że siedzą obok i gawędzą, a on patrzy się na nie i spisuje podsłuchane rzeczy. Od godziny 9 do 11 znowu pisał. Po roku takiéj pracy, ofiarował mu ówczesny redaktor *Gazety Codziennéj* i *Rolniczéj* p. Miaskowski miejsce w redakcyi z płacą 2,000 złp. rocznie; było to mało, lecz z ochotą zostało przyjęte.

Odtąd dola szanownego ze wszech miar autora naszego, od czasu do czasu polepszać się zaczęła. Nabył wziętości i potrafił sobie niemal ogólną zjednać sympatję.

Gazeta Codzienna zmieniała właścicieli swoich, ale Gregorowicz zawsze w redakcji zostawał. Gdy na koniec hr. Przedziecki, nie chcąc daléj dopłacać po 30,000 złp. rocznie, zamierzał całkiem pismo zwinąć, podjęli je: Gregorowicz, Henryk Lewestam i Pracki na barki swoje, jakkolwiek sami *tylko chudzi literaci*, wyrobnicy codzienni. Uczynili to jedynie przez wzgląd na pismo, na jeden organ więcéj w piśmiennictwie polskiem.

Ci trzéj nowi redaktorowie, pracowali zadarmo zupełnie, bez żadnéj korzyści, koleją codzień jeden przyjmując ciężki obowiązek, wypchnięcia gazety w świat.

Sprawa literatury krajowéj, była tu na względzie; przyklaśnięto pracy... lecz praca wszelako pozostała się taż sama, i brak zasobów tenże sam!—Młodzież tylko literacka przybiegała z pomocą, o ile mogła, tłumacząc politykę, lub dorywcze pisząc artykuły. Z pomiędzy nich najczynniejsi byli: Zygmunt Sarnecki i Stanisław Chomentowski.

Po roku redakcyjnéj męczarni, gazeta stała się wreszcie własnością Niewiarowskiego. Każdy z owych trzech poprzednich redaktorów, otrzymał po 3,000 złp., reszta poszła na długi, druk, papier, i t. p.

Gregorowicz pozostał się znowu w redakcji, lecz po niedługim czasie wystąpił. Późniéj z Henrykiem Lewestamem, zaczął wydawać *Wolne żarty*, które to wydawnictwo nie długo ustało.

Wolne żarty utorowały drogę *Tygodnikowi Illustrowanemu.*

W r. 1859 kupił Gregorowicz *Magazyn mód;* z 200 prenumeratorów, których zastał, podniosło się pismo to odrazu na 1,600.

W r. 1860, wezwano go na redaktora *Kmiotka*, ale złożył redakcję, już po sześciu miesiącach.

Rzecz dziwna, że człowiek, który tak całem sercem lud kocha, który zna jak najdokładniéj obyczaje jego i zwyczaje, szczerą prostotę i narowy wszelkie, nawet i najwięcéj drobiazgowe pod tym względem odcienia, który tak żywo maluje te z natury zdjęte obrazy; znający nadto na wskroś i potrzeby ludu naszego, i środki zapobieżenia nie jednemu złemu, że autor *Zarysów wiejskich*, dotąd nie zdołał pozyskać sobie redakcji jakiego pisma ludowego.

Dotąd drukiem ogłosił: *Zarysy wiejskie*, 2 tomy, *Proszaki i Tomek bez nogi* 3 tomy, *Tomek Sandomierzak* 3 tomy, *Różne różności* 2 tomy, komedye trzy, grane w małem teatrze *Rozmaitości*: *Janek z pod Ojcowa, Zaloty nowomodne, Werbel domowy.* Daléj dzieło gospodarcze, *Dobry ekonom*, i wiele artykułów w *Korespondencie rolniczym* przy *Gazecie Warszawskiéj* w *Gazecie Rolniczéj.* Ostatnio pracował nad *Książeczkami obrazkowemi Janka z Bielca.*

ŻYD WIECZNY TUŁACZ.

(*Dokończenie.*—Patrz Nr. 14).

Musimy zauważyć, że czem bardziéj się ludzkość od średnich wieków oddala, tem i koloryt téj legendy łagodnieje. Zemsta i wzgarda, już się tu nie spotykają w tych strofkach, które lud sobie utworzył i śpiewał. Bóg już nie jest tu wystawianym, jako surowo karzący i zagniewany. Owszem wzdycha wskazując winnego.

Przebiegliśmy tu główniejsze tradycje, jakie podano w przeciągu lat przeszło siedmiuset o żydzie wiecznym tułaczu. Ale jest jeszcze wiele innych, których szczegóły znajdują się w książce bardzo ciekawéj, napisanéj przez badacza Jacob po francuzku, pod tytułem: *Ciekawości z historji wierzeń ludzkich, w średnich wiekach.* Uczony ten wykazuje, że wiara w tę fantastyczną osobę, jaką żyd wieczny tułacz przedstawia, była powszechnie przyjętą, i że poezja przyszła już późniéj dopiero, aby upięknić przedmiot, który sądzono, że istnieje rzeczywiście.

Dziwne to jest doprawdy, tworzenie się tych typów popularnych. Żyd wieczny tułacz naprzykład, jest z początku jakąś niedobrze określoną wieścią tylko, która pojawiła się jak znikomy dymek w czasie zabobonnéj trwogi, jaka około 1000 roku naszéj ery panowała, kiedy ludzie rozumieli wtedy, że koniec świata nastąpi. Potem, pojawiają się z dalekich stron wędrowcy, którzy zaciekawiając swych słuchaczy cudownościami, jak to zawsze u wędrowców się zdarza, opowiadają, że widzieli tego żyda. Zakonnicy i kaznodzieje, przytaczają go jako żyjącego świadka, który naocznie oglądał Mękę Pańską, i oni poszukują na nim nieodpokutowanéj zbrodni Obrazy Boskiéj. Pomału, figura ta coraz bardziéj uwydatnia się. I ot są już i tacy, którzy spotykają tego dziwnego człowieka, rozmawiają z nim, słyszą z ust jego własnych opowiadanie swéj historji, tę chwytają zaraz poczciwi historycy; wierzą w nią, dodają niektóre jeszcze rzeczy, a inne przerabiają po swojemu. Tak przekręcone i upiększone, zapisują do roczników, i ani im nawet na myśl nie przyjdzie, aby też zapytać się samych siebie — a czy to prawda? i czy te fakta nie podlegają żadnéj już wątpliwości. Wieśniacy, w skutek swéj trwogi i zabobonów, czynią z żyda tułacza straszydło, posłannika nieszczęść przeróżnych. Gdzieindziéj znowu sądzą, że on sprowadza z sobą klęski publiczne, jak głód i morowe powietrze. W każdym kraju, jego przejście pozostawia po sobie ślad fatalny, i nawet na dzikim szczycie skały Fuska w Szwajcarji, pokazują dotąd odcisk jego nogi, która się zatrzymać nie mogła nigdzie. Nareszcie śpiewacy ludowi chwytają tę legendę, jak by naumyślnie dla nich utworzoną, rozwijają ją wedle swéj fantazji i wprowadzają do niéj nowe uczucie, które poezja wszędzie prowadzi z sobą. Uczuciem tem jest litość, która odtąd łagodzi tę historję, nacechowaną naprzód dzikim charakterem religijnéj pokuty.

Ale w jaki sposób, udawanie kilku żebraków, którzy zapewnie tu i owdzie odgrywali rolę żyda wiecznego tułacza, dla wyzyskiwania strachu i politowania u łatwowiernych i nieoświeconych ludzi, lub też imaginacja gorąca i skłonność do wiary w cudowność, mogły wywołać ten typ tak powszechny w Europie i przez tyle lat istniejący? Oto myślemy, że z żydem wiecznym tułaczem stało się tak, jak to bywa ze wszystkiemi typami, które potężnie działają na imaginację ludzką. To jest, uosobia się w jednym typie całą gromadę ludzi, szczególnych swojemi uczuciami i wyróżniających się zbyt dobitnie, od całéj reszty ludzkości.

Od samego początku ery chrześcijańskiéj, widziano cały jeden naród, wygnany ze swych ognisk domowych przez nieubłaganego nieprzyjaciela, potem rozproszony po całym świecie i wszędzie ścigany przez nienawiść i pogardę, jak gdyby jakieś tajemnicze przekleństwo zawisło nad nim. Rozproszony

ten naród, przechodził przez różne kraje, przebywał pomiędzy różnemi ludami, ale się nigdy z niemi nie mięszał. Prześladowania, wypędzenie, kary gardłowe i rabunki były wszędzie, prócz u nas, dokonywane na nieszczęsnych dzieciach Izraela — ale one nigdy nie rozpaczały o sobie, i niby słabe, a rzeczywiście potężne swą wytrwałością, nią tylko jedną tryumfowały zawsze, nad przemocą swych nieprzyjaciół. Wygnani z jakiego kraju, zmieniali oni miejsce przebywania ustawicznie, i zjawiali się zawsze upornie tam, gdzie zdawali się być w zupełności już wytępionemi. Ukrywali się, ale było ich jednak wszędzie można widzieć działających. Byli z pozoru niby ubodzy, ale się sami tylko zbogacali. Byli otoczeni wszędzie, prócz u nas, zaciętymi nieprzyjaciołmi, pragnącymi ich zguby zupełnéj, a jednak nieupadli, i przeżyli wszędzie swoich prześladowców. Nic ich zniechęcić nie zdołało, oczekiwali bowiem oni swojego Mesjasza.

Jakaż więc postać, mogła lepiéj usymbolizować tę nieszczęśliwą rasę, tak oryginalną i tyle wytrwałą, jak ten starzec przeklęty Cartophilus, Ahasverus, czy też Izaak Laquedem, przebiegający w swéj nieśmiertelnéj wagabondzie całą ziemię, która jednocześnie lituje się i pogardza nim? Jego ubiór dziwny, ta jego zdolność do mówienia rozmaitemi językami, do zamieszkiwania najrozmaitszych krajów, do nagłego ich opuszczenia i powracania znów do nich; ta wytrwałość na cierpienia i na śmierć; te pięć monet w kieszeni jego, które mu się ciągle odnawiają, tak, że lubo się zdaje biednym, jest zawsze bogatym — nie jestże to wszystko historją ludu żydowskiego, upostaciowaną w téj cudownéj legendzie o żydzie wiecznym tułaczu?

Dziś już Izrael, nie jest więcéj prześladowanym, żyje sobie spokojnie i dostatnio. Żyd wieczny tułacz, zwolniony ze swego przekleństwa, może już trochę spocząć, widząc dobre prowadzenie swych dzieci. Ale jego peregrynacje rozpoczęły się teraz w inny sposób; literatura pochwyciła go w swoje objęcia i wyrzekła fatalne słowa dla niego: Idź daléj! Idź ciągle i zawsze! I romans, dramat, opera, przerzucają go sobie z ręki do ręki, pędząc go bez wytchnienia wskroś świata imaginacyjnego, obszerniejszego, niezmierzonego, jak ten nasz ziemski, po którym on jako postać legendowa przechadzał się przez ośm wieków. W przeciągu czterdziestu tylko lat, liczą dziesięć sztuk francuzkich, przedstawionych pod tytułem: „Żyd wieczny tułacz” począwszy od melodramy Coigneza w r. 1812 w Paryżu wystawionéj, gdzie musiał biedak ponurym basem śpiewać, aż do wielkiéj opery Scribego i Saint Georgea z muzyką Halevego, w roku 1852 odegranéj. — Ileż to autorów wszystkich narodów, nie poszło w drogę z tym cudownym starcem? Poeta duński Anderson, bierze go za bohatera symbolicznego poematu. Niemcy: Wiehl i Szubert, biorą go za przedmiot swych alegorji. Ten ostatni przedstawia go spragnionym śmierci, któréj chciwie poszukuje wszędzie, bez możności jednak jéj znalezienia. Rzuca się on w najkrwawsze starcia wojenne, znieważa przemożnych, skacze w kratery wulkanów, ale ani ogień, ani żelazo, ani kary śmierci, ani przeróżne siły natury, nie mogą na niego wywrzeć najmniejszego wpływu. W końcu dotknięty jego rozpaczą, anioł śmierci przybywa i udziela mu przebaczenie, a zarazem i pożądany w grobie spoczynek.

We Francji wymieniemy najsławniejszych tylko pisarzy, którzy na ten temat pisali. I tak: Edgar Quinet, poeta i filozof napisał Ahasverusa. W tym podróżniku niezmordowanym, uosabia on ludzkość całą, pożądającą wiecznie spoczynku, a pomimo tego idącą wiecznie naprzód, popychaną przez niewidzialną rękę do celu pewnego, który jéj świeci z daleka, a który ucieka ciągle od niéj. Ahasverus zatem, to człowiek, który pomimo swych strudzonych i zbolałych nóg, podąża naprzód ku ideałowi. Eugenjusz Sue w swym Żydzie wiecznym tułaczu; Aleksander Dumas w swym Izaaku Laquedem, znaleźli szczęśliwie ramy do swych malowniczych fikcji. Znaną jest piękna piosnka Berangera: Żyd wieczny tułacz. Posiada ona w sobie całą prostotę i całą wielkość melancholiczną legendy, a przytem jest napisana z wielkim talentem, który jednak nic nieuszkadza naturalności i naiwności pierwiastkowéj legendy. Żyd tułacz Berangera odzywa się: Drżyjcie na wspomnienie mojéj kary. To Bóg nie obrazę swoją, we mnie tak karze. Nie, to On się mści za moją nieludzkość, nad człowiekiem cierpiącym!



Oracz.—(Rysował Kozarski—wyciął na drzewie Styfi).

ORACZ

PIOSENKA.

Héj, wiosenka z Boskiéj woli!
Z nieba słonko się uśmiecha;
Śniegi zeszły z miękkiéj roli,
Będzie praca i pociecha.
Skąpo żyta już w stodole,
Daléj wołki! daléj w pole!

Pługi skrzypią, kracze wrona,
A skowronek hen! pogania;

Héj! z zagona do zagona,
Zorzę dużo do śniadania.
Skiba pada w lewo, w prawo,
Daléj wołki! daléj żwawo!

Co za radość dla oracza!
Choć o kamień lemiesz dzwoni,
Pług niczemu nie przebacza:
Tam, gdzie rosła paproć łoni,
Teraz będzie plon bogaty.
Héj! odsiebie, ho! srokaty.

Doorane czarne staje,
Święty Wojciech zazieleni,
Będą zboża gdyby gaje,
Święty Jakób je wypleni;
Na Mateusz chleb gotowy,
Razem wołki! K'sob'—k'sob' płowy!

Orzcie—orzcie świętą rolę,
Dostaniecie świeżą paszę.
Miło poczuć pot na czole,
Bo to nasze—bo to nasze!
Bo to wiosną, czy w jesieni,
Człek na swojem się nie leni.

Héj! czy wiosną, czy jesienią,
Leniuch patrzy na gotowe;
A mnie wołki się nie lenią,
Nowa praca,—plony nowe;
I dla szkółki, dla stodołki,
Starczy, starczy—daléj wołki!

Orzcie—orzcie świętą rolę,
Dostaniecie świeżą paszę;
Miło poczuć pot na czole:
Bo to nasze—bo to nasze!
Bo na własnem człek bogaty,
Daléj płowy! ho, srokaty!

DWAJ BRACIA.


P. Michał... dążył do miasteczka. — (str. 133, szp. 2).
(Rysował Tegazzo—wyciął na drzewie Szymborski).

Wpewnéj wiosce niedaleko Warszawy, mieszkał szlachcic niezbyt zamożny. Miał on wprawdzie chałupę porządną, ziemi kawał i dobytek wcale niczego; ale sąsiedzi mówili, że mu zajączki po głowie biegały i rządzić się nie umiał. Szło mu wszystko naopak; niby szczerze pracował pan Michał, a przecież grosz go się nie trzymał. Nie można powiedzieć, aby złym był człowiekiem: cudzego się nie napierał, pijakiem nie był, wstawał skoro świt, a jednak skarżył się na niedolę, i niekiedy na Pana Boga wyrzekał, jak gdyby Pan Bóg winien był własnéj jego nierostropności. Cóż więc być mogło przyczyną niepowodzenia pana Michała? Oto buta jego i owa hardość szlachecka, która ani na chwilę pokoju mu nie dawała. Na chłopa i rzemieślnika z góry poglądał, choć sam oprócz zuchwalstwa, niczem się nie odznaczał. Niezmiernie był dumny ze swego szlachectwa, i rad rozpoczynał kłótnie w miasteczku, gdy w niedzielę lub święto po nabożeństwie, popijał w karczmie. A że pochopny był do pięści, kłótnia więc kończyła się zwykle guzem lub podbiciem oka. Jeżeli przysmak taki dostał się w udziale panu Michałowi, można było być pewnym, że gdy się przez niedzielę wyśpi, pójdzie nazajutrz do sądu ze skargą. I rzeczywiście, pan Michał, w granatowéj kapocie, w wysokiéj rogatywce, butach aż po kolana pięknie wyczyszczonych, dążył z samego ranka do miasteczka, gdzie się sądy odbywają, a plaster na nosie albo na brodzie dowodził, że proces rozpoczyna. Tu dzień roboczy, poczciwe ludziska Pana Boga pochwaliwszy pracują w pocie czoła, pan Michał zaś wszystko porzucił, kilku ludzi od roboty na świadków oderwał: a tak własne gospodarstwo luzem zostawiwszy, nie dawał innym pokoju. W okolicy i miasteczku nazywano go też *pieniaczem*. Żydzi, stojąc przy lichych swoich kramikach, i patrząc na niego wstrząsali ramionami, jak gdyby litując się nad jego zaślepieniem. Ale pan Michał brał to wcale inaczéj; zdawało mu się, że wszyscy dziwią się odwadze jego i dzielności. Jak to prawie zawsze bywa, znaleźli się i tacy, co korzystając z nierozsądku zarozumiałego szlachetki, ciągnęli zeń co mogli, aby się obłowić. Ale najlepiéj bakę mu świecił, jak mówili sąsiedzi, najzręczniéj grosz i dobytek odeń wyłudzał, pewien woźny sądu miejscowego, który, po każdéj katastrofie lub bijatyce pana Michała, podbudzał go i namawiał, aby skargę podawał; a czy słusznie, czy niesłusznie, zawsze mu nadzieję wygranéj rokował: „Wygrasz, panie Michale, wygrasz; zawstydzisz trutnia, — będzie wiedział, że grać sobie na nosie nie pozwolisz i t. p. Pan Michał gładził wtedy czuprynę, plaster na oku poprawiał i zgadzając się dodawał: „A tak nauczę trutnia, a co to, cham, żeby mi sięgał do zęba!” Tu zaraz woźny wyliczał, wiele co będzie kosztować: to za papier, to za napisanie prośby, to za popieranie interesu, to za śniadanko z tym i owym; i tak nieraz pana Michała oczyścił z grosiwa, że ten rad nie rad i gąskę i kurę dodawać mu musiał.

Byłoby gorzéj jeszcze z panem Michałem, gdyby poczciwéj i starannej żony nie miał, gdyby pani Michałowa, kobieta, jakich mało, nie ślęczała dnie całe to nad lnem, to nad ogrodowizną, to nad suszeniem owoców i grzybów, i tym sposobem jako tako łatała biedę, jaką mąż pieniacz do domu gwałtem zapraszał. A mieli oni dwóch synów. Starszy Franuś ulubieńcem był ojca, młodszy Antoś, pociechą matki, widzącéj w nim cnoty, jakich brat starszy nie posiadał. Franuś był krnąbrny, choć pojętny, ale nieusłuchany i ciągle na matkę przed ojcem się skarżył; Antoś, dziecię potulne i ciche, pracowite a skromne, kochał wszystkich i nic nigdy nikomu złego nie zrobił. Ale Franuś nie uważał go prawie za brata, co pochodziło najbardziéj z tego, że ojciec kiedyś się odezwał: „Ten niedołęga Antek, nic nie wart — niech więc szyje buty; ale o Franusiu pomyślemy inaczéj; i zwracając się do starszego dodał: „A masz ty ochotę zostać urzędnikiem?” Słowa te

nazawsze utkwiły w pamięci niesfornego dziecka, i służyły mu za powód do prześladowania młodszego brata.

Nadszedł wreszcie czas, kiedy trzeba było o przyszłości dzieci pomyśleć. Pan Michał, stosując się do raz powziętéj myśli, aby młodszego do terminu, starszego zaś do szkół oddać; postanowił tak uczynić, i niby dla narady żonę do siebie zawołał i rzekł:

„Przygotuj-no Imość ładną bieliznę dla Franusia; muszę go niezadługo odwieść do szkoły."

— A dla obydwóch, dla obydwóch! — Mój Boże! czemże to Antoś gorszy od Franusia?

„E, co mi tam Wasani gadasz; rób jak ci mówię i basta; tamten niech gęsi pasie, albo idzie do terminu."

— Ale czy to się godzi, własne dzieci tak różnić między sobą; cóż ci Antoś zawinił? że potulny, że cichy, to już niczem nie wart być na świecie? Oj, żeby cię Pan Bóg nie skarał i opak chęci twoich nie spełnił; boć psujesz, psujesz mój dobrodzieju starszego chłopca, Bóg wie za co dając mu pierwszeństwo. Nie dla tego ja mówię, żebym nie chciała oddać do terminu Antosia, niech idzie — poczciwa dusza; każda praca jest dobra, byle szła od Boga; ale pamiętajcie mężu, że ze złemi chęciami dla jednego dziecka, nie będzie szczęście drugiemu. Daj Panie Boże, abym się myliła.

Byłoby poczciwe matczysko dłużéj tak rozprawiało, ale dostrzegłszy gniew w oczach pana Michała, zmilkła jak kamień, i po trochu bieliznę, ubranie i zapasy dla dzieci gromadzić poczęła, a dla każdego jednakowo, równo, jak prawdziwa matka. Nie mogła tylko w niczem zmienić postanowienia pana Michała, i wkrótce Franuś oddany został do szkółki, a Antoś do kowala w Warszawie.

Długoby to przyszło opowiadać koleje każdego z tych braci, którzy wcale różnemi poszli drogami; dość będzie pokrótce wspomnieć, jak sobie postępowali z ludźmi, to jest, jaką słali sobie przyszłość.

Franuś, napompowany świetnemi nadziejami, jakie mu ojciec w pamięci odświeżał, brata młodszego znać nie chciał. Pochlebiał i łasił się przełożonym szkolnym dla tego, aby ich względy pozyskać, i tem prędzéj na człowieka się wykierować. Mój Boże! jakże to często obija się o uszy wasze, kochani czytelnicy „wyjść na człowieka." Często tak bywa, że człowiek uważa swego bliźniego za przedmiot, z którego można jaki zysk osiągnąć, a kiedy jego oczekiwania się ziszczą, albo omylą, rzuca go, jak cytrynę. A o wdzięczności, przyjaźni z takiemi ludźmi nie ma co i mówić. Ale dzięki Opatrzności, że wszyscy tacy źli, są zawsze w mniejszości, bo inaczéj ludzkość istnieć by nie mogła.

Franuś tedy złą szedł drogą, bo mu powtarzał ojciec: „zrób wszystko, co chcesz, abyś tylko był urzędnikiem; i mnie w processach pomożesz i sam się nieraz z biedy wygmatwasz." Ta małoznacząca na pozór rada, jak najgorsze wydała owoce. Chłopiec z przewrotnemi zasadami w sercu, myśląc tylko o wywyższeniu się, gdy skończył szkoły, rzucił się zaraz do urzędowania, a po za tem nic a nic nie widział i widzieć nie chciał. W biurze z nikim się nie przyjaźnił, a przeciwnie powziął ku kolegom nienawiść jakąś instynktową, może za to, że starszemi byli od niego. Za staranność jednak i przykładną, bo mozolną pracę, jeden ze zwierzchników bynajmniéj moralności jego na względzie nie mając, promować go zaczął.

Cieszył się pan Michał, że nauka przecież w las nie poszła; raz nawet uniósł się do tego stopnia, że całą osadę szlachecką processować zamierzył o jakieś tam grunta, a to na zasadzie nadziei, jakie w nim Franuś obudził; — przyszła jednakże chwila namysłu, że dzieło po Bogu nie rozpoczęte, a dziecko nie po Bogu wychowywane, mało wróżą dobrego. Lecz nim do tego dojdziemy, spojrzemy na drugiego synaczka, zapomnianego Antosia, który u kowala w Warszawie pędził żywot zupełnie inny.

Antoś, dla którego wzorem we wszystkiem była matka, od niéj też nauczył się być bogobojnym i nadewszystko cierpliwym. Nie było smutku i przykrości, którychby jak prawdziwie chrześcijańskie dziecię, nie przeniósł. Widział on, gdy był jeszcze w domu, jak często matka jego z rezygnacją nieraz, skrycie łzy lejąc, poddawała się niesłusznemu gniewowi ojca; sam też znalazłszy się w miejscu zupełnie obcem, czerpał w tych wspomnieniach siłę dla siebie. Obraz tedy matki, był dla Antosia źródłem niewyczerpanéj pociechy, jaka uszczęśliwia dusze niezachwianie czyste i szlachetne.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KRZYSZTOF KLUK.

(WSPOMNIENIE Z PODRÓŻY ODBYTÉJ PO KRAJU).

(Ciąg dalszy.—Patrz Nr. 14).

Szlachcic podał mi stołek, poprosił żebym usiadł i uchyliwszy drzwi od przyległego alkierza. „Basiu zawołał: przynieś wódki, chleba, sera i masła, mamy gościa." Potem usiadł naprzeciw mnie i zapytał:

— A cóż tu Pana Dobrodzieja sprowadziło do naszego zakątka i to jeszcze na piechotę i z daleka? bo jak widzę z pierwszego wejrzenia, Jegomość Dobrodziéj musi być urzędnikiem, albo też Warszawiakiem.

— Przypadek, Panie Dobr. odpowiedziałem. Na drodze z Nura do Ciechanowca, na gruntach do téj wsi należących, złamała się oś u bryczki i przyszedłem prosić o pomoc.

— Jak najchętniéj Mości Dobr. A która oś złamała się?

— Przednia.

— To nic. Mój Antek zaciągnie półwozie, podłoży je pod bryczkę i przyjedzie do nas razem z końmi i służącym. O dorobieniu osi pomyślimy. Ale to zabierze trochę czasu. Proszę więc Pana Dobrodzieja w gościnę do naszego domku; spodziewam się że nie pogardzisz noclegiem u ubogiego szlachcica. Czem chata bogata, tem będziemy radzi, przydał.

Gdy to domawiał, przyniesiono posiłek. Szlachcic napił się do mnie. Przyjąłem ofiarowany kieliszek anyżówki, przepalanéj w domu na alembiku; chleb był razowy, ale smaczny, masło i ser doskonałe.

— Niechże wiem, komu zawdzięczam tak uprzejmą i szczerą gościnność, rzekłem.

— Jestem Adam Tymiński, właściciel części szlacheckiéj na Tymiance, do usług W. Pana Dobrodz.

Nawzajem wymieniłem moje nazwisko i powód podróży do Białegostoku.

Weszła do izby niewiasta już nie młoda, w czepku białym muślinowym, w chustce na szyi i w płóciennkowym w kratki szlafroku.

— Oto jest moja żona, Basia, raczéj Barbara, rzekł szlachcic. Ale ja zawsze nazywam ją Basią, jak

niegdyś w młodości, bo zawsze kochamy się jak z młodu, przydał wesołym tonem.

— Co tam waść pleciesz takie androny! zwłaszcza też przed obcym gościem, odpowiedziała zawstydzona pani Tymińska.

— Słodkiego i zacnego uczucia nie należy się wstydzić, bo to zaszczyca męża i żonę: rzekłem kłaniając się gospodyni domu, któréj twarzy regularne i poważne, a razem dobrotliwe, wzbudzały od pierwszego wejrzenia, przychylność i uszanowanie.

— Zmrok zaczyna zapadać, rzekł p. Adam: gospodarstwo i porządek to rzecz pierwsza. Basiu przygotuj wieczerzę i nocleg dla gościa, w téj oto izbie. Ja muszę iść i razem z parobczakiem oprzątnąć inwentarz. A pan Dobr., przydał zwracając się do mnie, może obejrzysz naszą chudobę i przejdziesz się po sadzie.

— Jak najchętniéj odpowiedziałem. Ja, chociaż nie gospodaruję na roli, jestem gospodarskim synem, urodziłem się i wychowałem na wsi.

I wyszliśmy obydwa.

Dwa pługi paro-wołowe weszły na podwórze; dwa porządne konie stały u woza, naładowanego zieloną wyką. Szlachcic wyprzągł je, zaprowadził do stajni i nałożył paszy za drabki: bo jego syn, który dogląda koni i w nie robi, pojechał z rozkazu ojca po moją bryczkę. Dziewucha przypędziła z pastwiska pięć krów, i znać było po ich wymionach, że dają obficie mleka. Wszystko na com tylko spojrzał, oznaczało ład, dobre gospodarstwo i zamożność.

Korzystając z jasnych promieni zorzy wieczornéj, poszedłem do ogrodu. Dziwiłem się jego obszerności: z jednéj strony, zasłoniony był gęstą ulicą lipową, która zarazem służyła za ochronę przeciw ostrym północnym wiatrom; w przeciwną stronę ciągnąc się, zajmował całą szerokość roli szlacheckiéj, i długi był na dwa albo półtrzecia staja; obejmował zatem około czterech morgów roli, co jak na cząstkowego posiadacza, jest bardzo znacznym obszarem. Na boku było ogrodzenie dość wysokie, z żerdzi wplecionych między trzy łaty przybite do słupków w ziemię wkopanych. Trzoda i ptastwo domowe niemogły przedostać się przez tę plecionkę. Furtka była niezamknięta na kłódkę, lecz tylko na klamkę, wszedłem więc i zobaczyłem pasiekę z kilkudziesięciu słomianych ulów, stojących kilkoma rzędami na szerokich i mocnych ławach, a między niemi ziemia była oczyszczona i ubita jak na klepisku. W ogrodzie było paręset drzew owocowych na kwaterach, a w środku rosły ogórki, marchew, cebula i inne gospodarskie warzywa.

Dwie kwatery przeznaczone były na szkółkę młodych drzewek rozmaitego wieku, od rodnych latorośli, aż do szczepionych i gotowych do przesadzenia płonek.

Widząc takie gospodarstwo pszczolne i ogrodowe, poznałem przyczynę zamożności tego szlachcica. Doszedłem do końca ogrodu, gdym powrócił na dziedziniec, już się zmierzchło.

— Czekamy na pana Dobr. z wieczerzą; rzekł do mnie gospodarz, i wprowadził mię do gościnnéj izby.

Postrzegłem że tylko dla mnie samego nakryto. Porządny biały obrus, serweta i fajansowe talerze, były takie same jak w każdym domu szlacheckim średniéj zamożności.

— A Pan Dobr: czy nie jadasz wieczerzy? zapytałem się gospodarza.

— I owszem, odpowiedział, lecz jadamy wszyscy razem w izbie po drugiéj stronie; bo to my swoi, rodzeństwo i krewniacy, sami sobie panowie i słudzy.

— A cóżem zawinił, że mię wyłączacie od waszego towarzystwa, rzekłem, i chcecie, żebym jadł osobno?

Zmięszał się gospodarz i odpowiedział.

— Bo to moja Basia myślała, że nasze chłopaki i dziewuchy które prosto od roboty do misy zasiądą, zrządzą Panu subjekcją i przykrość. A przytem kazała dla Pana Dobr: jako dla gościa, upiec parę kuraków.

— Bardzo proszę! zawołałem, kochany gospodarzu, nie czyńże mi téj krzywdy, i dozwól niech z wami razem posilę się darem bożym. Co wy jecie, to i dla mnie dobre będzie.

Ja nie żaden pieszczoch ani wykwintniś.

— Ależ..

— Żadnego ale, albo jeść będę z wami razem, albo pójdę spać bez wieczerzy, bo nie pozwolę na odróżnienie.

— Niechże więc będzie podług woli Pana Dobr: odpowiedział pan Tymiński, i poszliśmy do izby stołowéj, która zarazem była kuchnią.

Zastawiono kluski z maślanką, a po niéj kaszę jęczmienną ze słoniną. Chleb razowy dobrze wypieczony i ser dopełniły wieczerzy. U stołu siedziało prócz mnie siedm osób: państwo Tymińscy, ich dwie córki, i dwóch synów, i młody trzynastoletni chłopak synowiec gospodarza.

Po wieczerzy, ojciec odczytał modlitwę wieczorną, i uważałem, że cała rodzina modliła się na książkach.

Pan Tymiński odprowadził mię na spoczynek. Na ścianie przy któréj mi posłano, wisiał ów obrazek otoczony kwiatami. Przybliżyłem się do niego ze świecą i z podziwieniem wyczytałem podpis: „Krzysztof Kluk.” (Patrz obrazek na stronicy 109 Opiekuna Domowego w N-rze 14 umieszczony).

— Widziałem pasiekę Pana Dobr; i ogród: rzekłem, pojmuję więc dla czego otoczyłeś kwiatami obraz naszego naturalisty, który nam podał tak doskonałe przepisy hodowania pszczół.

— Ach! Panie Dobr: zawołał mój gospodarz: czcimy pamięć księdza Kluka, jako naszego dobroczyńcy. Jemu wszystko winni jesteśmy; a nasze dzieci i wnuki korzystając z owocu jego łaski, równie go błogosławić będą.

— Rozbudziłeś moją ciekawość szanowny Panie, rzekłem, i upraszam cię o jéj zaspokojenie. Właśnie chciałem zatrzymać się w Ciechanowcu, żeby zebrać wspomnienia o tym szanownym mężu którego dzieła uwielbiam. Widzę że przypadek, sprowadzając mię do waszego domu, posłużył mi nad spodziewanie.

— Jak najchętniéj to uczynię, odpowiedział pan Tymiński, ale już dziś za późno. Musimy iść na spoczynek. Jutro trzeba o świcie wstać do pracy. Bryczka pańska będzie dopiero gotowa na godzinę pierwszą, a więc na przypołudnie, jak powrócimy z pola, opowiem, co dla nas śp. ksiądz Kluk wyświadczył.

(Dokończenie nastąpi)

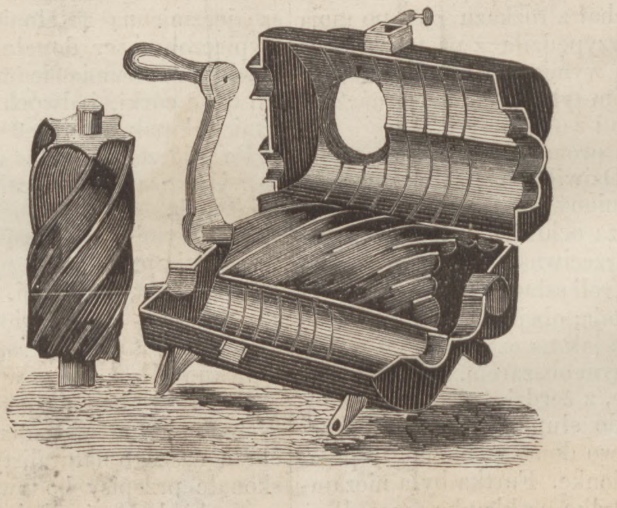
Maszynka do siekania mięsa.

Nowy ten przyrząd, który obrazuje przedstawiona drugostronnie rycina, zyskał uznanie praktyczne; przeszedł bowiem doskonałością, dotychczas znane tego rodzaju maszynki.

Narzędzie to rycina wyobraża roztwartem, z jednym walcem wyjętym, a to dla dania lepszego wyobrażenia o jéj składzie wewnętrznym. Jak widzimy składa się ona z dwóch cylindrów ściśle z sobą złączonych, a w połowie przeciętych; po zamknięciu jednak maszynki, stanowią one zupełną całość. Wieko wierzchnie, łączy się ze spodniem, silnemi ruchomemi zawiasami. Wewnątrz cylindry te, opatrzone są wpoprzecz wyżłobionemi rynienkami, a to w tym celu, iżby podczas krajania mięsa, wydzielające się ścięgna, znalazły punkt oporu i mogły być powstrzymane.

W tych dwóch cylindrach, umieszczone są dwa śrubowe walce, na panewkach szczelnie zwartych, nieruchomych. Walce te, przy większych rozmiarach maszynki, mają po 10 trybów, przy mniejszych po 8. Tryby tych dwóch walców śrubowych, tak się urządzają, iżby się razem chwytały; kiedy więc obracamy korbę przytwierdzoną do jednego walca, drugi tem samem obraca się, i odbywa ruch przeciwny walcowi pierwszemu. Od spodu pomiędzy walcami, przytwierdzony jest płaski nóż, ustawiony równolegle do obydwóch osi i takie mający położenie, iżby ledwie że nie dotykał ostrzami trybów stykających się osi.

Maszynkę tę podczas roboty, przytwierdza się silnie do stołu lub deski, za pomocą śrub umocowanych do nóg, gdzie znajdują się odpowiednie roztwory. Po umocowaniu, rozdrabnianie mięsa uskutecznia się w ten sposób: że kraje się mięso na kawałki szerokości dłoni, a grubości średniego palca i wkłada się do roztworu maszynki ręką lewą, równocześnie obracając korbę ręką prawą. Mięso chwycone przez walce, dostaje się wtedy na nóż, który go rozdrabnia odpowiednio do żądania; im dłużéj bowiem zatrzymujemy mięso w maszynce, ciągle obracając, tem będzie drobniéj posiekane.



Maszyna do siekania mięsa.—(Rysował i wyciął na drzewie K. Kuczyński).

W przeciągu godziny, można na maszynce téj zesiekać 30 funtów mięsa.

Pomiędzy wieloma innemi tego rodzaju, maszynka ta osobliwie tem się wyróżnia, że ma tylko jeden nóż, który jako łatwo dający się wyjąć, z łatwością można poostrzyć; na jéj zaletę, przemawia zaś i to jeszcze, że da się zawsze w czystości utrzymać i że jest nadzwyczaj trwałą; w Niemczech kosztuje tylko półósma talara.

ROZMAITOŚCI.

— Nieraz zdarzyło się nam słyszeć o Amazonkach, o wojskach złożonych z samych Amazonek, o państwach amazonek; z geografij dowiedziedzieliśmy się o rzece Amazonce, a w Warszawie spotykamy czasem kobiety jadące konno, w długich ciemnych sukniach i w kapelusikach z piórkami i kobiety te, nazywamy zazwyczaj także Amazonkami. Ale jednak że nie spodziewaliśmy się wcale, iżby w świecie istniały jakie wojska lub państwa Amazonek, choć takie wojska i państwa są, jak się pokazuje. Pewien kapitan angielski, wysłany wewnątrz Afryki, dostał się do królestwa Dachomeju i znalazł z wielkiem swym podziwem całe państwo rządzone i bronione przez kobiety. Monarcha jest wprawdzie mężczyzną, ale najwyższy kapłan, pierwszy minister i naczelny wódz, są kobietami. Mężczyzni także mają i swego kapłana i wodza i ministra, ale tych władza jest tylko tytularną, a rzeczywista potęga jest w ręku kobiet. Nawet kat do tracenia przestępców, jest kobietą. Dziwny kraj bezwątpienia, ale dziwniejszem jeszcze i najpierwsze i najświętsze prawo tamtejsze, mocą którego wszyscy uniżonymi są niewolnikami króla, a wszystkie kobiety kochankami królewskiemi. Skoro kobiety dojdą do pewnych lat, przedstawiane są królowi, a ten według swego upodobania, przeznacza takowe albo za swe faworyty, albo oddaje do straży przybocznéj, albo odsela do wojska, gdyż cała straż królewska i wszystko wojsko, złożone jest z kobiet.

— Jeden z rodaków naszych, przebywających za granicą pisząc do Gazety Rolniczéj, donosi o sposobie używanym w Paryżu do prania lekkich materji i wstążek koloru lila lub fioletowego. Do pół kwarty wody miękkiéj, sypie się za 5 groszy kremortartary i po rozpuszczeniu moczy się w tem przez godzin kilka materje lub wstążki. Po upływie tego czasu, wyjmuje się je z tego płynu i nie wyżymając, ani też trąc w jakibądź sposób, zawiesza się je na sznurkach do ocieknięcia, a skoro to nastąpi, prasuje się je, zanim zupełnie jeszcze wyschną. Przez ten sposób, wstążki nawet najbardziéj zbrukane, odzyskają świeżość pierwiastkową swego koloru i będą znowu wyglądać jak nowe, i choćby były na nich jakie czerwonawe plamy, to te znikną bez śladu żadnego.

— W południowéj Ameryce, w państwie Argentyńskiem, w roku zeszłym, dostrzeżono szczególne zjawisko: *czarny-deszcz*. Jedna z tamtejszych gazet, w tych słowach o tem donosi: 12 Grudnia około godziny 7 z rana, było tak ciemno, iż mieszkańcy miasta San-Juan lampy palić musieli; wprawdzie rozjaśniało się powoli, lecz niebo przez cały dzień było mocno zachmurzone. W nocy deszcz padał i gdy nazajutrz z beczek wodę wybierać chciano, zobaczono o dziwy! wodę czarną. Zjawisko to, wiele listów od mieszkańców tamtejszych odebranych, stwierdza. Lud wielce się tem przeraził, a niewiasty szczególniéj oddały się żarliwym modłom, poruczając się opiece Najwyższego, jak gdyby w przeczuciu wielkich nieszczęść.

— Pewien naturalista niemiecki, w podróży po Ameryce płynąc rzeką Rio-Branko, wpadającą do Amazonki, odkrył na brzegach téj pierwszéj rzeki olbrzymie drzewo z rodzaju bambusowych, zwane przez krajowców *Suina*. Gałęzie drzewa tego, okryte pyszną podzwrotnikową zielonością, dać mogą schronienie dla 10,000 ludzi, a obszar gruntu pod konarami tego roślinnego olbrzyma znajdujący się, gdyby został uprawiony, mógłby wyżywić rodzinę z 25 osób złożoną. Na szczycie tego olbrzymiego drzewa, gnieździ się znowu olbrzymi ptak *Tujuju*, a szczyt ten wyniesiony jest tak wysoko, że go dosięgnąć nie może, ani strzała wypuszczona z łuku, ani kula fuzji myśliwskiéj.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—Dnia 14 (26) Kwietnia 1865 r.